

tekst i foto: dr Ryszard Kulik
luty 2007

Ryszard Kulik, psycholog, pracuje jako adiunkt na Wydziale Pedagogiki i Psychologii Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Podróżnik, trener psychologicznego treningu. Autor książki *Jak kształtować postawy proekologiczne*. Od wielu lat zaangażowany w prowadzenie edukacji ekologicznej i psychologicznej. Współpracuje z licznymi organizacjami ekologicznymi. W swojej działalności czerpie inspirację przede wszystkim z bliskiego kontaktu z dziką przyrodą, z psychologii humanistycznej oraz filozofii głębokiej ekologii.

Leczenie nienasycenia, czyli jak moja nieświadomość ekologiczna doprowadziła mnie do równowagi

Zaprawdę dziwnymi ścieżkami podążają ludzkie losy. Często wydaje się nam, że coś nam się przytrafia, że jakieś zrządzenie losu dyktuje nam warunki, których do końca nie akceptujemy, bo nie są zgodne z tym, czego pragniemy dla siebie. Tak oto rodzi się podstawowy podział na obcy świat i mnie samego; na to, co przypadkowe i na to, co poddane mojej kontroli; na zewnętrzne i wewnętrzne.

Ta przypadkowość zewnętrznej rzeczywistości pokazuje jak na dłoni jak niewielki obszar w gruncie rzeczy zajmuje nasze decydujące i kontrolujące „ja”. A jednak, zdarzają się takie momenty w życiu, kiedy mamy szansę zobaczyć w jakimś olśniewającym przeblysku, że te dwie pozornie różne rzeczywistości są w istocie czymś jednym, że to, co wprzód wydawało się przypadkowe, zewnętrzne, obce, stanowi lustrzane odbicie wewnętrznego procesu, w którym coś, co jest większe od naszego małego „ja” potrafi zadbać o nasze rzeczywiste pragnienia, choć na pierwszy rzut oka wydaje się to trudne, kłopotliwe, a nawet pełne cierpienia.

To coś większego od małego „ja” nazywam za twórcą ekopsychologii Teodorem Roszakiem nieświadomością ekologiczną. To właśnie ona, choć ukryta w zakamarkach nieświadomości-przypadkowości jest pomostem między światem zewnętrznym i światem wewnętrznym.

Posłuchajcie zatem mojej historii, w której przypadek był jak najbardziej prawdziwym głosem mojej natury.

Radosna (?) wiadomość

Gdy dowiedziałem się, że jestem zaproszony na konferencję ekologiczną „Global Environmental Youth Convention” do Dubaju w Zjednoczonych Emiratach Arabskich, miałem mieszane uczucia. Z jednej strony cieszyłem się, ponieważ miałem okazję odwiedzić egzotyczny kraj zupełnie za darmo – wszystkie moje wydatki (przelet samolotem, zakwaterowanie, wyżywienie, przejazdy) miały być pokryte przez organizatorów. W rewanżu miałem poprowadzić dla uczestników konferencji (razem z moim przyjacielem dr. hab. Piotrem Skubałą) kilka warsztatów ekologicznych, co również było zachęcającą





perspektywą. Z drugiej jednak strony miałem wątpliwości: po co lecieć tak daleko, żeby poprowadzić dla ludzi zajęcia? Tutaj, na miejscu też przecież mogę to robić, a dość często odmawiam, bo jestem osobą raczej zajętą. Czyż to, że trzeba lecieć tak daleko w ostatecznym bilansie kosztów i potencjalnych zysków środowiskowych nie przesądza o tym, że lepiej zostać w Polsce?

Tak czy owak zdecydowałem się lecieć. Jako, że mój paszport stracił ważność, musiałem wyrobić nowy. I tutaj pojawił się pierwszy problem. Okazało się bowiem, że tak długo zwlekałem z udaniem się do urzędu, że niewiele brakowało, a bym nie zdążył. W taki oto sposób dostałem pierwszy sygnał ostrzegawczy od mojej nieświadomości ekologicznej. Mój wewnętrzny dylemat zmaterializował się w postaci przedłużającej się procedury wyrobienia paszportu.

Gdy już wiedziałem, że mogę szykować się do wylotu, moje małe „ja” rozpoczęło przygotowania do własnego „konsumpcyjnego odlotu”. Dubaj to przecież miejsce, gdzie spełniają się marzenia tanich zakupów. W Zjednoczonych Emiratach Arabskich państwo nie narzuca absolutnie żadnych podatków, więc wszystkie towary sprzedawane w sklepach są tańsze niż gdziekolwiek indziej. W mojej głowie pojawiła się wizja zakupowego raj, w którym będę mógł sobie użyć do woli, czyli kupić taniej to, o czym marzę. Przed oczami wyobraźni przetoczyły mi się komputery, laptopy, sprzęt grający, kamery, aparaty i wiele jeszcze innych błyskotek, o których dla przy-

zwoitości nie wspomnę. Ale, hola, hola... Jako rasowy ekolog nie mogę przecież pozwolić sobie na takie rozpasanie. Zatem tylko to, czego rzeczywiście potrzebuję. Mój wybór padł na aparat fotograficzny. Wprawdzie mam już takowy, i kupiłem go stosunkowo niedawno, ale wiecie – pojawił się nowy, lepszy model! Lubię robić zdjęcia, potem publikuję je tu i ówdzie lub wystawiam, więc argument jest rzeczowy: mając lepszy aparat, mogę robić lepsze zdjęcia, które następnie mogę wykorzystać w niesieniu innym ekologicznego kaganka. Hmm, no niby tak, tylko ta argumentacja wydała mi się jednak dość wątpliwa – bo przecież ten aparat, który mam, w zupełności mi wystarcza.

Tak czy inaczej w końcu rozgrzeszyłem się wewnętrznie i zaplanowałem kupno nowego aparatu.

Dubaj – kapitalistyczny raj

Po wylądowaniu moje pierwsze kroki skierowałem do kantoru po to, by obliczyć relację złotówki do miejscowej waluty. Od tych obliczeń wszystko zależało, bo przecież miałem kupić aparat tylko dlatego, że tu miał być tańszy. Ta operacja matematyczna okazała się być dość karkołomna jak na mój humanistyczny umysł: trzeba bowiem było odnieść kurs dirhama do dolara, a ten następnie do złotówki. I to wszystko bez kalkulatora, którego nie mieliśmy. Ostatni raz dzieliłem pisemnie w podstawówce, czy jakoś tak. No i wyszło mi, że 1 dirham to 1,2 zł. Jak się później okazało moja nieświadomość ekologiczna była dużo bardziej biegła w rachunkach ode mnie i właśnie

dzięki niej rąbnąłem się aż o 40 gr. Krótko mówiąc zamiast podzielić to przez tamto, podzieliłem tamto przez to i wyszło jak wyszło. Z tego powodu już na wejściu wszystko wydawało mi się droższe o ok. 50% od rzeczywistej ceny.

Póki co, o zakupach jednak zapomniałem, ponieważ był piątek, a to w świecie muzułmańskim dzień święty, w którym handel, jak przystało na święto, zamiera. Wypuściliśmy się więc w miasto po to, by na własne oczy zobaczyć cuda, o których rozprawia cały nowoczesny świat. I rzeczywiście, cuda rozpościerają się na każdym kroku. Przede wszystkim miasto jest niezwykle ukwiecone, z dużą ilością skwerów i parków. Może nie jest to dla nas nic dziwnego, ale gdy zważy się na to, że jesteśmy na pustyni, to skala przedsięwzięcia budzi podziw. Każda palma, każdy kwiat, czy źdźbło trawy jest bezustannie zasilane wodą.

Wokół strzelają w niebo drapacze chmur, których nie powstydzilyby się największe światowe metropolie. Oprócz tych, które w niebo już wystrzeliły, na horyzoncie widać ogromną ilość tych, które dopiero mają wystrzelić. Wśród nich jest budowany najwyższy budynek świata. Ukończony jest zaledwie w połowie, ale już teraz przewyższa wszystkie pozostałe. Dubaj jest jednym z największych na świecie placów budowy. Podobno jedna czwarta wszystkich wielkich dźwigów na świecie zgromadzona jest właśnie tutaj. Dla kogo się to buduje? Dla wielkiego biznesu. Dubaj bowiem ma aspiracje zostania światowym centrum kapitalistycznego raju. Przedstawiciele wielkich korporacji i firm znajdują tu idealne warunki do rozkręcania globalistycznego interesu. Dogodne warunki komunikacyjne (ogromne lotnisko jest położone niemal w centrum miasta), zupełny brak podatków, potencjalne zyski związane z handlem ropą oraz inne zachęty sprawiają, że zdecydowana większość powierzchni biurowych w budowanych drapaczach chmur jest już wykupiona – na kilka lat przed oddaniem ich do użytku.

Ale to jeszcze nie wszystko. Właściwie na każdym kroku widać niesamowite wręcz rozpasanie i rozmach. Niedawno oddano do użytku całoroczny tor narciarski z prawdziwym, choć sztucznym śniegiem. Może nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że jesteśmy na pustyni, gdzie temperatury mogą przekraczać nawet 40 C. Wybrzeże Zatoki Perskiej zagospodarowuje się w ten sposób, że tworzy się ogromne sztuczne wyspy, które z lotu ptaka przypominają palmy lub mapę świata. Buduje się wielkie centra handlowe i biznesowe otoczone zielonymi ogrodami, polami golfowymi, basenami i parkami rozrywki. Do tego niezliczona ilość hoteli, które wyrastają dosłownie jak grzyby po deszczu, choć porównanie to na pustyni brzmi cokolwiek groteskowo. To wszystko w niespotykanej skali: największe, najbardziej rozległe, najnowocześniejsze.

Ten rozmach widać nie tylko w decyzjach władz miasta, które wytyczają świetlistą drogę rozwoju, ale też i w życiu zwykłych mieszkańców. Przede wszystkim wszędzie królują samochody. Ale nie takie, jakie znamy z naszych ulic. Tutaj wszystkie wydają się jakieś większe, zresztą przeważająca ich część to wielolitrowe potężne samochody terenowe. Może nie ma się temu co dziwić, jeśli wiemy, że benzyna kosztuje tutaj zaledwie 90 gr/l. Mieszkańcy jeżdżą tymi olbrzymami dosłownie wszędzie, choć właściwie nie jeżdżą, bo po praw-

dzie stoją w gigantycznych korkach. Drogi w Dubaju mają i po sześć pasów ruchu w jedną stronę, a i tak przejazd samochodem przez miasto jest udręką.

Podczas naszego pobytu, jako goście, zostaliśmy zakwaterowani nie w hotelu, tylko w rezydencji. Każdy z nas dostał osobny pokój, który tak czy owak miał dwa łóżka. Po co więc osobne pokoje? Wszystkie pomieszczenia w tym kraju są klimatyzowane, co może nie powinno dziwić. Ale dziwiło nas niezmiernie to, dlaczego klimatyzacja nastawiona jest na 18 – 19 C. A trzeba jeszcze dodać, że w czasie naszego pobytu (konferencja odbywała się w grudniu 2006 r.) temperatury na zewnątrz wahały się w granicach 21 – 25 C. Po co więc ta klimatyzacja?

Z rezydencji codziennie mieliśmy zapewniony transport do Akademii, gdzie odbywała się konferencja. Zdarzało się, że przyjeżdżał po nas duży autobus, choć było nas tam zaledwie 3 – 5 osób. Na każdym kroku mogliśmy obserwować marnotrawstwo i rozrzutność, chociaż ocenialiśmy to tak może tylko dlatego, że nie jesteśmy przyzwyczajeni do luksusu. Tak czy owak, niezależnie od tego, jakiego miejsca na kuli ziemskiej to dotyczy, wysoki status społeczny wiąże się z ostentacyjną konsumpcją, marnotrawstwem i nieliczeniem się z kosztami. Ten, kto oszczędza i przejmuje się, spostrzegany jest jako osoba zajmująca niską pozycję społeczną.

Dubaj i Emiraty mają ogromne dochody z ropy naftowej i tutejsze władze doskonale wiedzą jak te pieniądze marnotrawić, pokazując całemu światu, kto jest kim. Wśród ekologów Dubaj zajmuje szczególne miejsce właśnie ze względu na presję, jaką żyjący tu ludzie wywierają na środowisko naturalne. Miarą tej presji jest tzw. ślad ekologiczny, który w Zjednoczonych Emiratach Arabskich jest jednym z największych na świecie. Gdyby wszyscy ludzie na Ziemi chcieli żyć jak ci w Emiratach, potrzebowalibyśmy jeszcze 5 takich planet jak Ziemia. Dubaj ma ten wskaźnik jeszcze wyższy, co oznacza, że jest jednym z najbardziej niezrównoważonych ekologicznie miejsc na świecie.

Konferencja z przesłaniem

Jak przystało na prawdziwie nowoczesnych i oświeconych decydentów, władze Dubaju, razem z Uniwersytetem Lund w Szwecji, zorganizowały ekologiczną konferencję, która przede wszystkim dotyczyła spraw związanych ze zrównoważonym rozwojem. Podczas wykładów, warsztatów i seminariów z udziałem zaproszonych gości oraz młodzieży z 44 krajów z całego świata przez cztery dni odmienialiśmy zrównoważony rozwój przez wszystkie możliwe przypadki. Początkowo jakoś przymykałem oko na rozdzwięk między tym, co widziałem wszędzie wokół, a tym, co mówiły osoby występujące na konferencji. Sam przecież nosiłem ten rozdzwięk w sobie: z jednej strony widzę siebie jako ekologa, a z drugiej chcę kupić aparat, który tak naprawdę nie jest mi potrzebny. Czyż nie zachowuję się podobnie jak wszyscy? Prawdopodobnie każdy zadeklaruje, że kocha Matkę Ziemię, choć jednocześnie będzie konsumował bez pamięci zbędne rzeczy, przyczyniając się tym samym do stopniowej degradacji planety. Z takim rozdzwiękiem trudno jest żyć, więc robimy wszystko, żeby zagłuszyć ten wewnętrzny wyrzut naszej nieświadomości ekologicznej, która jest naszym prawdziwym głosem. Tutaj, na tej konferencji, moja nieświadomość

ekologiczna stopniowo budziła się z letargu i skutecznie niwelowała dobre samopoczucie biorące się z wszechogarniającego luksusu.

Jednym z pierwszych wystąpień była prezentacja przedstawiciela WWF, który mówił o problemach środowiskowych jako o wyzwaniach. Utożsamiamy zwykle ekologów z tymi, którzy straszą i czarno widzą przyszłość, a tu okazuje się, że można inaczej: wyzwanie, to coś, co mobilizuje i daje nadzieję. Może rzeczywiście to ciekawa wizja, ale przykład, jaki zaproponował prelegent mnie poraził. Otóż pokazał zdjęcie nowoczesnego, sportowego samochodu napędzanego oczywiście gazem. To właśnie ma być nasza świetlana ekologiczna przyszłość – każdy ma samochód, który oczywiście nie szkodzi środowisku. Aż strach pomyśleć, co by się stało, gdyby ta wizja miała się zrealizować.

Podczas jednego z kolejnych wykładów pojawiają się zatrważające informacje na temat globalnych problemów w konfrontacji z priorytetami w wydatkach ludzi zamieszkujących kraje wysoko rozwinięte. I tak, zapewnienie wszystkim ludziom na Ziemi dostępu do bieżącej wody kosztowałoby 9 mld dolarów, podczas, gdy w samej tylko Europie ludzie wydają 11 mld dolarów na lody. Podstawowa opieka zdrowotna i wyżywienie dla wszystkich kosztowałoby 13 mld dolarów, podczas gdy tylko w Stanach Zjednoczonych i Unii Europejskiej ludzie wydają 17 mld dolarów na jedzenie dla zwierząt domowych. Takie szokujące porównania można by jeszcze mnożyć, niemniej jednak pokazuje to skalę szaleństwa naszego świata. Czy ja z moim nieszczęsnym aparatem też się do tego dokładam? Czy żyjąc ponad stan przyczyniam się do tego, że inni żyją na granicy przetrwania? Zwykle uważamy, że tego typu kwestie są poza naszym wpływem, przerzucamy odpowiedzialność na decydentów, polityków czy jakieś nieokreślone procesy, z którymi nie mamy nic wspólnego. Tutaj jednak bardzo wyraźnie widać, że za tymi danymi kryją się zwykli ludzie, ich codzienne decyzje, preferencje, zachcianki i oczekiwania. Można by rzec, że tamci żyją tak, ponieważ my żyjemy tak. W tym sensie na każdym z nas ciąży odpowiedzialność za to, co się dzieje na świecie i każda nawet najmniejsza decyzja ma znaczenie.

Po wykładach udajemy się do niewielkiej sali, gdzie młodzi ludzie prezentują swoje projekty badawcze dotyczące problemów środowiskowych. Trafiamy do grupy, w której akurat toczy się dyskusja na temat emisji dwutlenku węgla, zmian klimatycznych i zalesiania. I nagle pojawia się wątek konferencji, na której jesteśmy. Wielu z nas bowiem przyleciało samolotami z bardzo daleka, dokładając się w ten sposób do globalnego ocieplenia. I jesteśmy tu po to, by dyskutować o globalnym ociepleniu i wymyślać sposoby ograniczania tego zjawiska. Czyż nie lepiej było zostać w domu i robić to, co i tak już wiemy? I wtedy Andrew Cox z Irlandii, prezes organizacji Caretakers for the Environment mówi, że przed przylotem do Dubaju zdecydował się wpłacić 500 euro dla stowarzyszenia zajmującego się zalesianiem, po to, by w ten sposób zrekompensować własny wkład w emisję dwutlenku węgla w związku z tak daleką podróżą. No tak, ilu z nas myśli w tych kategoriach?

Andrew jest chyba jednak wyjątkiem wśród uczestników konferencji, ponieważ wielokrotnie obserwujemy, że inni,

jakkolwiek w deklaracjach kochają Matkę Ziemię, to jak przychodzi co do czego, niespecjalnie przejmują się konsekwencjami środowiskowymi własnych działań. I tak oto widzimy, jak prawie wszyscy uczestnicy podczas posiłków gustują w napojach z puszek, mimo, iż obok znajdują się soki, które można z kranika nalać sobie do szklanego kubka, który każdy dostał od organizatorów. Widzimy też jak ludzie namiętnie wożą się windą na I piętro, mimo, że obok znajdują się schody, którymi można tam dojść trzy razy szybciej. Wielokrotnie też widzieliśmy jak zaproszeni goście zamiast czekać na autobus, który odwoził nas do Akademii zamawiali taksówkę, by dostać się tam na własną rękę.

To wszystko budzi moją dezaprobatę, ale o razu też przypominam sobie o aparacie, który coraz wyraźniej gniecie mnie, jak kamyk w bucie. Gdy więc w mieście natrafiam na jego ślad i dowiaduję się, że kosztuje mniej więcej tyle co w Polsce (choć z powodu mojego błędu w rachunkach nie wiem jeszcze, że jest dużo tańszy), to z jednej strony ogarnia mnie lekkie zdziwienie, ale z drugiej czuję pewną ulgę, że może nie będę go musiał kupować.

Serce Wojownika

Wśród zaproszonych gości na konferencji pojawił się też najprawdziwszy wódz indiański z Ameryki Północnej. Czekalem na niego, ponieważ wydawało mi się, że przyniesie uczestnikom choć cząstkę mądrości pochodzącej z prastarej tradycji ludów szczególnie traktujących przyrodę i środowisko. Wódz wydawał się dość tajemniczy, ponieważ ciągle otoczony był różnymi ludźmi i trudno było się do niego dostać. Tak czy owak czekałem na swoją kolej.

Sprzyjająca okazja pojawiła się po projekcji niezwyklego filmu *The Planet*. Realizatorzy pokazali w nim w bardzo przekonujący, ale też i wstrząsający sposób, co dzieje się z Ziemią pod wpływem działalności człowieka. Wszystko jest ze sobą powiązane i to, jak żyjemy, ma wpływ dosłownie na najdalsze zakątki naszego globu. Po projekcji mam bardzo wyraźne poczucie, że jako ludzkość jesteśmy na najlepszej drodze do globalnej katastrofy. W kuluarach podchodzę do jednego z twórców filmu; stoi tam też Wódz. Poruszony, nareszcie mam okazję podzielić się swoimi przemyśleniami wyrazić swoje wątpliwości, co do sensu organizowania konferencji z takim przepychem. Co ciekawe, w swoich refleksjach jestem właściwie sam. Wódz uważa, że jak jest okazja, to trzeba z niej korzystać i lecieć nawet na drugi koniec świata po to, by powiedzieć kilka pięknych słów o Matce Ziemi. Ręce mi opadają. Wspominam też o dysonansie między tym, o czym ciągle mówimy od kilku dni, a tym, co widzimy wokół w Dubaju. Do tej pory nikt słówkiem nie pisał o tym, że jest to wszystko cokolwiek schizofreniczne. *Nie martw się* – mówi autor filmu, *jutro przyleci z Anglii Norman Myers i powie wszystkim o śladzie ekologicznym i Dubaju*. Tak, Myers jest jednym z najbardziej znanych ekologów, wykładu na Oxfordzie i z jego zdaniem liczą się chyba wszyscy. Zaczekajmy więc do jutra...

Na wykładzie Myersa było ponad 500 osób, w tym przedstawiciele ministerstwa środowiska Emiratów. Ja siedziałem jak na szpilkach, czekając na to, co się będzie działo. Z każdą minutą jednak byłem coraz bardziej rozczarowany. Myers wprawdzie zarzucił nas przerażającymi statystykami, jednak nie pokusił się wcale o jakąś szerszą refleksję na temat kie-



runku, w którym zmierza świat. Nie pisałem też ani słówkiem o Dubaju i Emiratach, choć właśnie tutaj, jak w soczewce, skupiają się wszystkie te negatywne zjawiska, które przyczyniają się do globalnego kryzysu.

Moje rozczarowanie mieszało się z irytacją, więc po wykładzie, gdy przyszło do zadawania pytań, pierwszy podniosłem rękę. Zapytałem się Normana o to jak widzi Dubaj i jego rozwój w kontekście tych negatywnych procesów, o których mówił podczas wykładu. Sławny ekolog zmieszał się nieco i odpowiedział, że nie zna za dobrze Dubaju i Emiratów, żeby wygłaszać jakieś opinie. Po raz kolejny opadły mi ręce. Ostatnia nadzieja okazała się być równie ulotna jak cywilna odwaga Myersa.

Następne wystąpienie miał przedstawiciel ministerstwa środowiska Emiratów. Zasypał nas oczywiście przykładami, jak to władze Dubaju troszczą się o środowisko. Nie mogłem już tego słuchać; Wojownik we mnie był już jednak na dobre obudzony i gdy prezentacja się skończyła wstałem i powiedziałem tak: *Słyszę, że robią Państwo wiele dla środowiska, ale przykro mi – ktoś w końcu musi to tu powiedzieć – Dubaj ma najwyższy wskaźnik ekologicznego śladu na świecie. Czy rzeczywiście uważa Pan, że Dubaj może być dobrym przykładem dla innych idei zrównoważonego rozwoju?* Urzędnik, nieco poruszony, odpowiedział krótko: *tak*. Według niego Dubaj jest bardzo dobrym przykładem zrównoważonego rozwoju, o czym świadczy np. otwarta ostatnio oczyszczalnia ścieków.

Moje osłupienie momentalnie zostało zastąpione jakimś podstawowym zrozumieniem dla tego człowieka. Zobaczyłem bowiem kogoś, kto może od wielu lat funkcjonuje w ministerialnej machinie, która jest zupełnie podporządkowana jedynej słusznej wizji rozwoju za wszelką cenę. Dodatkowo dostaje pieniądze za wspieranie i sankcjonowanie tej wizji, której całkowicie się zaprzedał. Czy można więc było spodziewać się jakiejś innej odpowiedzi?

Ale to nie był jeszcze koniec. Po chwili na sali zrobiło się zamieszanie: mnóstwo dziennikarzy, jacyś ochroniarze. Okazało się, że konferencję zaszczycił swoją obecnością Jego Wysokość Szejk Mohammad Bin Rashid Al Maktoum, który jest władcą Dubaju, wiceprezydentem Emiratów oraz premierem rządu tego kraju. Po zwyczajowych przemowach Szejk podszedł do uczestników konferencji i zamienił z kilkoma osobami parę zdań. Zawsze widząc takie sceny w te-

lewizji zastanawiałem się, o czym oni tam rozmawiają. Teraz miałem okazję w tym uczestniczyć, bowiem Szejk stanął tuż obok mnie. Najpierw podał rękę dziewczynie stojącej nieopodal i zapytał: *skąd pochodzisz?* Ona na to: *z Peru*. Wtedy on: *a ja z Dubaju. Jak ci się tu podoba?* Dziewczyna odpowiedziała coś, że fantastycznie i wtedy Szejk stanął jeszcze bliżej mnie i podał rękę chłopakowi stojącemu obok. *Skąd jesteś?* *Ze Szwecji* – odpowiedział chłopak. *A ja z Dubaju* – odpowiedział ponownie Szejk. *A jak ci się tu podoba?* – zapytał. *Fantastycznie* – odpowiedział chłopak. I wtedy Szejk zdołał krok w moją stronę, podał mi rękę, spojrzał mi w oczy i... poszedł dalej. Czyżby wolał się nie spotkać z Wojownikiem, którego może rozpoznał w tym krótkim spojrzeniu...

Epilog

Czy po tym wszystkim mogłem pójść i tak po prostu kupić aparat, którego tak naprawdę nie potrzebowałem? Ostatniego dnia już wiedziałem, że kurs obliczony przeze mnie był błędny. W ten oto sposób ostatnie pokłady mojego nienasyceńca zostały postawione w stan najwyższej gotowości. Po raz kolejny zapytałem się o cenę aparatu w sklepie i w głowie zacząłem przeliczać na złotówki już po właściwym kursie. I co? No i wprawdzie aparat okazał się tańszy niż wcześniej, to jednak ciągle nie tak tani, bym uznał, że warto go kupić. Gdy to sobie uświadomiłem i podjąłem decyzję, że jednak go nie kupię, ogarnęła mnie jakaś błogość i spokój. Moje nienasyceńce ostatecznie poległy jak balon, z którego uszło powietrze. Jak to dobrze, że nie mam tego nowego aparatu!

Gdy byłem już w domu, w Polsce, pierwszej nocy po przylocie miałem sen. Wykonywałem w nim jak szalony jakieś operacje matematyczne, które miały udowodnić mi, że coś mi się opłaca, a coś nie. Po przebudzeniu się od razu pomyślałem sobie o aparacie i przywołałem w pamięci sytuację ze sklepu w Dubaju, w którym ostatniego dnia liczyłem ile ostatecznie kosztuje ten aparat. I nagle mnie olśniło. W momencie wszystkie moje zdolności obliczeniowe naprawiły się i przed oczami stanęła mi cena aparatu, która była niższa niż w Polsce aż o 20%. Uśmiechnąłem się pod nosem. No tak, moja nieświadomość ekologiczna doskonale wiedziała jak zmylić moje matematyczne zmagania. To właśnie dzięki niej – można by rzec – zupełnie przypadkowo, mogłem nie kupić tego aparatu i poczuć się z tym naprawdę dobrze.

Tak oto zostałem bez nowego aparatu i z pieniędzmi, z którymi zastanawiałem się co zrobić. Na co je wydać? Co za nie kupić? Doszedłem jednak do tego, że gdybym je teraz wydał na zakupy, to specjalnie nic by to nie zmieniło. Trzeba było z nimi zrobić coś zupełnie innego.

Postanowiłem więc, że za 700 zł kupię siedem drzew na Słowacji u bratniej organizacji ekologicznej VlK^{*)}, która zajmuje się ochroną lasów. Dzięki temu drzewa te nie zostaną nigdy wycięte, a gdy uschną lub przewrócą się, pozostaną dalej w lesie.

Zawsze to lepiej, zamiast sadzić lasy, chronić te, które jeszcze są...

*) VlK, organizacja ekologiczna, która prowadzi wykup cennych przyrodniczo terenów na Słowacji. Wpłacając 100 zł lub ich równowartość w słowackich koronach można kupić sobie własne drzewo. Zainteresowanych odsyłam na stronę www.wolf.sk/akonato.php